

Kalejdoskop

Zamarzył mi się kalejdoskop. Któregoś dnia, przy porannej herbacie z cytryną i kanapce z szynką. Ot tak, po prostu. Kalejdoskop.

– Jeśli kalejdoskop – powiedziałem głośno do siebie, bo żona była w łazience – to tylko od samego pana Tipki.

Jeszcze tego dnia urwałem się wcześniej z pracy, by wybrać się po odpowiedni sprzęt. Najpierw udałem się do banku, gdzie pomniejszyłem nieco sumę naszych oszczędności. Potem wsiadłem w tramwaj nr 13, którego ostatni przystanek znajdował się dokładnie przed wejściem do atelier pana Tipki.

Przez brudne szyby ledwo przebijało światło żarówki. Wiszący nad drzwiami szyld „Rozmaitości. Niecodzienności. Remigiusz Tipka zaprasza” skrzypiał miarowo w rytm podmuchów jesiennego wiatru.

„Klamka nie działa. Proszę kopać” – przeczytałem na zatłuszczonej kartce, przybijtej pinezką do drzwi. Wziąłem więc zgrabny zamach i po chwili znalazłem się w czarnym wnętrzu pracowni pana Tipki. W środku panowały zaduch i cisza, przerywana co jakiś czas nieodgadnionym, świszczącym odgłosem. Po dłuższej chwili zlokalizowałem jego źródło – to pan Tipka pochrapywał za kontuarem. Chrzękniętem, a nawet zakaślałem. Westchnąłem. Spróbowałem kichnąć. Gdy wyczerpałem arsenał cenzuralnych dźwięków, powiedziałem:

– Dzień dobry!

Pan Tipka zerwał się na równe nogi, stanął na baczność, a następnie się uklonił.

– Moje uszanowanie, czym mogę służyć? – zaskoczyło mnie, jak wysoki, piskliwy, wręcz kobiecy wydał mi się jego głos. Nagle zrozumiałem, że nie jesteśmy tu tylko my dwaj. Pod sufitem wisiła klatka z papugą. Po chwili dostrzegłem jednak, że ptak jest wypchany. Ale był tu jeszcze ktoś. Z kątów i spod szaf, zza biurka i z dziur między deskami w podłodze patrzyły na nas setki czerwonych oczu. Szczury.

– Szukam kalejdoskopu – powiedziałem spokojnie.

Pan Tipka bez słowa wlepił wzrok w ścianę za moimi plecami. Odwróciłem się i ujrzałem półki uginające się pod ciężarem kalejdoskopów: mniejszych, większych, dziecięcych, kolorowych, w stylu retro i *high tech*, tanich, drogich, pojedynczych i w zestawach. W duchu pogratulowałem sobie wyboru. Wiedziałem, do kogo się udać. Za panem Tipką szła fama najlepszego producenta kalejdoskopów, a oprócz tego tarocisty, zaklinacza komarów i optyka.

– Może ten? – zapytał pan Tipka, podając mi kalejdoskop w drobną łączkę. Przyłożyłem go do oka, pokręciłem i ujrzałem wzór ułożony z gąsienic. Ich tłuste ciała układały się w fantazyjne kształty, falowały w harmonijnej sekwencji figur, płąsały w rytm

nadawanej przez kalejdoskop muzyki. Wtem zaczęły się dzielić, z ich pręgowanych odwłoków wydarły się skrzydła, by po chwili wybuchnąć feerią rajskich kolorów. Po całej pracowni zaczęły latać motyle.

– Zbyt kobiece – skrzywiłem się, otrzepując z ramienia resztkę kwiatowego pyłku.

Pan Tipka podał mi więc większy kalejdoskop, zrobiony ze stali. Ten spodobał mi się zdecydowanie bardziej. W środku ujrzałem sześciokąt, zbudowany z kobiecych piersi. Przy każdym obrocie piersi zmieniały konfigurację, lecz przede wszystkim... kształt. Jak to w kalejdoskopie, nie powtórzył się żaden! Stałem tak sobie jakiś czas, podziwiając nieskończoną kreatywność natury, gdy usłyszałem chrząknięcie.

– Pakujemy? – zapytał pan Tipka.

Zerknąłem jeszcze raz. Tym razem piersi jakby obwisły.

– Dziękuję, wolę nie denerwować żony – wykręciłem się grzecznie. Poza tym kalejdoskop był zdecydowanie za drogi.

I wtedy go dostrzegłem. Stał schowany między cackiem wykładanym kryształami Swarovskiego a wojskowym, obitym materiałem moro. Był beżowy i zupełnie zwyczajny. Sięgnąłem po niego bez wahania i bez pytania. Przyłożyłem do oczu. W środku zobaczyłem niemowlę. Leżało w niebieskim beciku i płakało. Nie, nie płakało – zawodziło. Jego krzyk wdierał mi się pod skórę, rozsadał mi tkanki. Mózg zalewał falą rozpacz, a serce zmienił w poduszeczkę na szpilki. Ostatkiem sił oderwałem się od kalejdoskopu i zerknąłem na pana Tipkę. On tymczasem układał pozostałe od najmniejszego do największego. Uznałem, że jest na tyle stary, by móc nie dosłyszeć rozdzierającego skowytu niemowlęcia. I choć serce biło mi jak oszalone i nie mogłem pozbyć się natrętnego uczucia melancholii, zerknąłem w kalejdoskop jeszcze raz, upewniwszy się uprzednio, że dokładnie nim obróciłem. Tym razem także zobaczyłem dziecko, ale już starsze, kilkulatnie. Siedziało w piaskownicy i bawiło się koparką. Wydało mi się znajome. Lekki ruch kalejdoskopem i z piasku wyłoniła się dżdżownica. Dziecko krzyknęło, a ja poczułem strach tak paniczny, że mógłby wykończyć największego śmiatka. Zabrakło mi oddechu, a ciało ogarnął paraliż. Nie zabiło mnie tylko dlatego, że dygot, w który wpadłem, wstrząsnął też kalejdoskopem. Nastąpiła kolejna zmiana. Chłopiec, ten sam, ale parę lat starszy, siedł z tornistrem do szkoły. Miałem taki sam tornister, chciałem powiedzieć, gdy wtem uświadomiłem sobie, że to jest mój tornister, mało tego, ten chłopiec jest mną. Oto, w najbardziej zwyczajnym z kalejdoskopów pana Tipki, oglądałem swoje życie. I choć fakt ten był co najmniej zdumiewający, ni stąd, ni zowąd, ogarnęła mnie beżmierna nuda. Nic nie chciałem, na nic nie miałem ochoty. Zacząłem ziewać. Ziewałem tak i ziewałem, od niechcienia obracając kalejdoskopem przez cały okres ponownie objawianej mi edukacji. Gdy dotarłem do matury (wiedziałem, że po niej zacznę wreszcie żyć na całego), ktoś wyszarpnął mi kalejdoskop.

– To nie dla ciebie – syknął pan Tipka.

– Zapłacę każde pieniądze – krzyknąłem błagalnie i rzeczywiście gotów byłem to zrobić. Ale najpierw postawiłem na wersję ekonomiczną i spróbowałem wyrwać kalej-

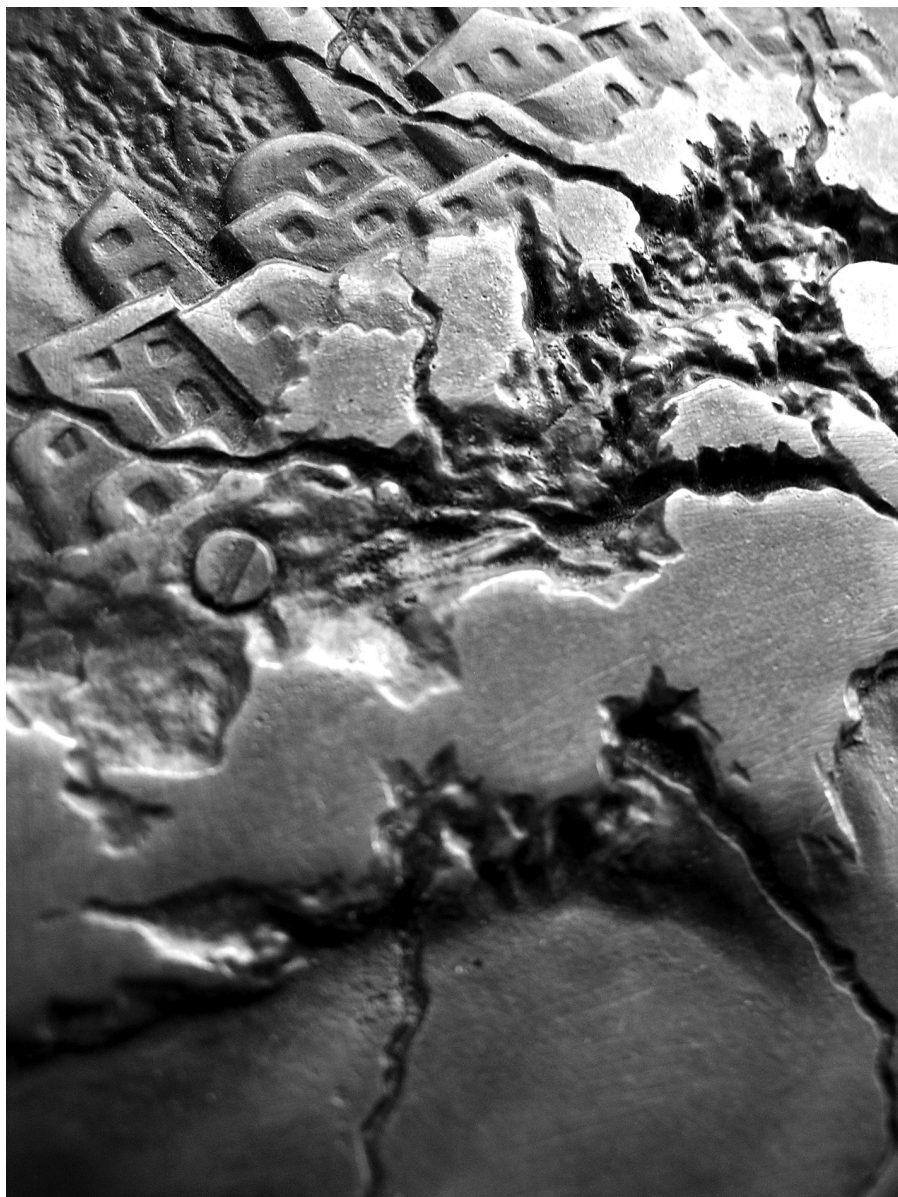
doskop z rąk pana Tipki. Zaczęliśmy się szarpać, kalejdoskop poturlał się w stronę szafy. Chwyciłem go w ostatniej chwili, prosto spod szczurzych łapek.

– Ostrzegałem... – usłyszałem jeszcze głos pana Tipki, zanim ponownie dałem się wessać w świat kalejdoskopu.

A tam – zaskoczenie. Nie obejrzałem oblania matury i wyrzucenia z pierwszej roboty. Nie dane mi było przeżywać stresu oświadczyn i strachu przed ożenkiem. Kalejdoskop ominął nawet zapalenie wyrostka, które przebyłem rok wcześniej. Nasza szarpanina przesunęła w nim bieg wydarzeń. Zatrzymał się dokładnie w momencie, gdy tramwaj nr 13 odjeżdża z przystanku, a ja z wykopem wchodzę do atelier pana Tipki. Wstrzymałem oddech. Byłem o krok od poznania własnej przyszłości. Dzielił mnie od niej tylko jeden obrót kalejdoskopu... Odepchnąłem starcze dłonie, które po raz kolejny próbowały mi go odebrać. Kalejdoskop wiernie pokazywał to, co wydarzyło się dosłownie przed chwilą. I znów zastoniło mnie stado motyli, ponownie ogarnęło podniecenie na widok sześciu kobiecych piersi. Zamigotały kryształły Swarovskiego, rozległ się przesywający szloch dziecka. Wreszcie „ostrzegałem...” pana Tipki, bo zaraz potem nie było już nic, tylko ostatni obrót, ostatni obrót kalejdoskopem i koniec.

– Nie można jednocześnie obserwować życia i przeżywać go – usłyszałem jak przez grubą warstwę waty. Poczułem ułkucie w sercu i zrozumiałem, że moja przyszłość nie istniała. Nie miałem jednak czasu na rozgoryczenie, refleksję czy rozważania. Wraz z ostatnim obrotem kalejdoskopu całe moje jestestwo rozsypało się na miliardy drobinek.

Myśli, wydarzenia, obrazy, emocje potoczyły się po deskach podłogi. Szczury co do jednego pozbierały kawałki tej egzystencji, a Pan Tipka po dziś dzień próbuje z nich zbudować historię. Na próżno. W kalejdoskopie nic nie dzieje się po raz drugi.



Andrzej Nowakowski, cykl *Zakazane miasta* (2)